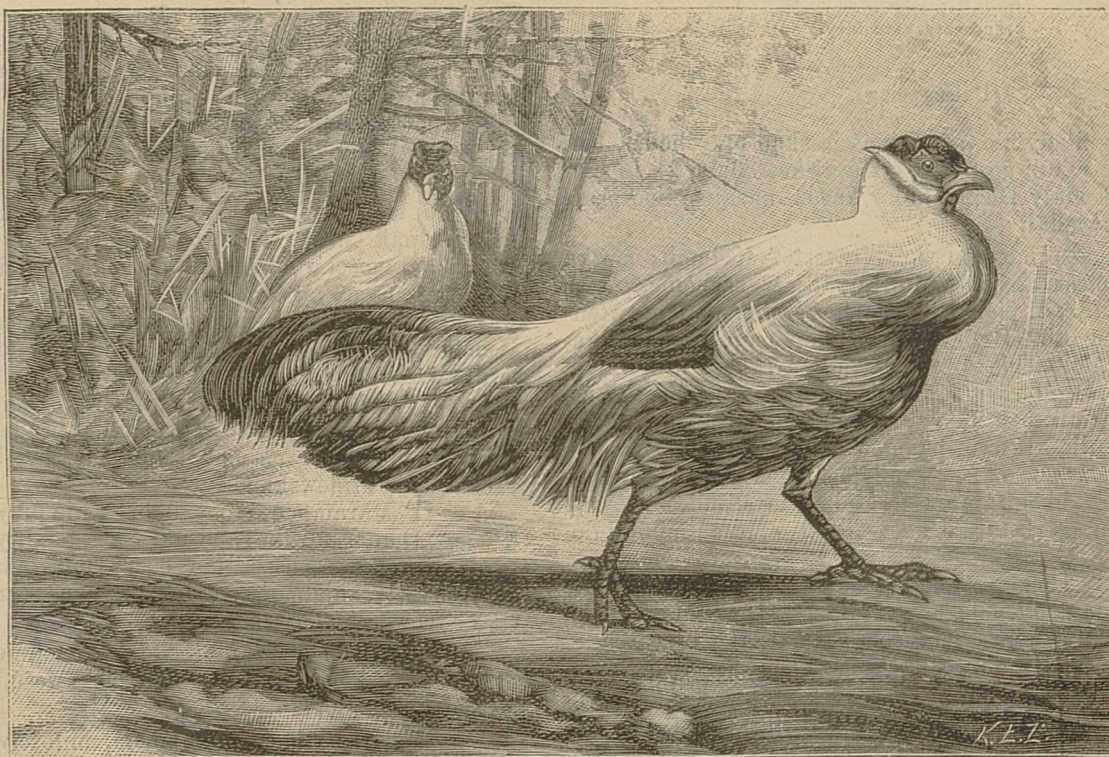




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



BAŻANT^USZATY.

BAŻANT USZATY.

Ptaka ten zamieszkujący Tybet, został niedawno sprowadzony do Europy, dla zaaklimatyzowania.

Bażanty te różnią się od zwyczajnych swoim ogólnym wyglądem, naturą i upierzeniem. Z pozoru wydają się one nieco większemi, niż są w istocie, z powodu nastroszonych piór przy

ogonie i w dolnej części ciała. Ubarwienie ich nie błyszczy tak jaskrawo, jak u innych bażantów, jest skromnem, jednostajnego białego, zlekka wpadającego w żółty, koloru czasem brunatnego, popielato-niebieskiego lub szarego. Nogi ich pokrywa skórka różowo-czerwona, podobne obwódki okalają oczy, około uszu sterzą dwa pęki piórek wąskich, od których ptak otrzymał swą nazwę. Wbrew przyjętemu przez naturę po-

rzadkowi, obie płcie bażanta uszatego mają podobną powierzchowność, choć zwykle u kurowatych ptaków, rzecz się ma przeciwnie; samiec ma tylko ostrogi, których nie posiada samica.

Crassoptilon, tak się bowiem nazywa po łacinie bażant uszaty, wytrzymał doskonale trudy długiej podróży morskiej i obecnie jest ozdobą paryskiego ogrodu zoologicznego.

W ojczyźnie swej bażant ten żywi się liśćmi, jagodami, nasionami i owocami. Bardzo jest łagodny, towarzyski i lubi przebywać pospół z innymi osobnikami tego gatunku i trzyma się zazwyczaj w niewielkich stadkach.

Zwyczajnie tych bażantów czynią je bardzo łatwą zdobyczą; dlatego też na północy Chin wskutek niszczenia lasów stają się coraz rzadszymi. Na szczęście sprowadzono ich dość do Europy i nawet rozmnożono w ogrodzie londyńskim i paryskim. Zmiana klimatu nie zaszkodziła im wcale; mają się bowiem bardzo dobrze.

Biegają wesoło po parku, z opuszczonymi ogonkami, napuszonemi grzbietami.

Mięso ich ustępuje wprawdzie w delikatności mięsu zwykłego bażanta; niemniej jednak bażant uszaty, dla swych umiarkowanych potrzeb, płodności i wytrzymałości na zimno, stanowi bardzo pożądaną nabytek dla Europy.

DO ZIEMI NIEZNANEJ

przed czterystu laty.

(Dalszy ciąg).

Zakonnicy nigdy nie pytali gościa skąd przychodzi, ani dokąd dąży, nie pytali go nawet o nazwisko, chyba że je sam wyjawiał, tak jak mały Diego, który zaraz nazajutrz po przybyciu swem opowiadał:

— Mój ojciec nazywa się Krzysztof Kolumb; matka już w niebie; mieszkaliśmy w Portugalii, w Lizbonie, ojciec miał dużo pieniędzy i piękne ubranie, i ja też miałem wtenczas piękne sukienki. Król bardzo lubił mojego ojca i kazał mu często do siebie przychodzić. I ja też widywałem króla. Aż raz, król rozgniewał się na ojca; nie wiem za co, bo on zawsze taki jest dobry?... no, ale król się rozgniewał, więc i panowie i krewni pogniwiali się także. Ojciec mnie zabrał, wsiedliśmy na okręt i przyjechaliśmy do Hiszpanii. Teraz ojciec jest ubogi; nie wiem gdzie myśli mieszkać ale jabym chciał tutaj zostać! Tutaj bardzo jest ładnie i dobrze!

Kiedy mały Diego, zajądając to co mu udzielono, takie poufne zwierzenia robił jednemu z zakonników, który się nim zajął, Krzysztof Kolumb tymczasem rozmawiał z przeorem.

Jan Perez de Marchena, przeor klasztoru Franciszkanów w Rabida, słyszał jako mąż cnót wielkich i uczony astronom. Był spowiednikiem królowej Izabelli. Ceniony przez nią bardzo, niedługo jednak przebywał u dworu, gdyż pośród przepychu i wspaniałości, pełen chrześcijańskiej pokory zakonnik, tęsknił do swej celki w ustronnem Rabida, gdzie lubił pośród ciszy nocnej słuchać szumu fal Śródziemnego morza i wpatrywać się w pogodne, gwiaździste niebo. W takich chwilach korzył się przed wszechmocą i mądrością Bożą, podziwiając harmonię panującą w wszechświecie i obroty nieprzeliczonych gwiazd, z których żadna nie zbacza nigdy z drogi, jaką Stwórca nazaczył jej przed wiekami.

Zacny i uczony Jan Perez de Marchena, wysłuchał opowieści Krzysztofa Kolumba, podniecił w jego sercu gasnącą nadzieję powodzenia, sam uwierzył w możliwość odkrycia nowych wysp i krajów i napisał do królowej Izabelli, gorąco

i usilnie prosząc jej o popieranie sprawy genueńskiego żeglarsza. Z tym listem, Kolumb po kilkotygodniowym odpoczynku, opuścił gościnny klasztor, a mały Diego pozostał w Rabida pod opieką Franciszkanów.

W jednej z sal Alhambry zebrało się nieliczne grono osób, które stanowiły najbliższe i ulubione otoczenie obojga królestwa. Dona Izabella haftowała, w czem pomagały jej mistrzyni dworu Beatryxa Cabrero i przybrana córka tej ostatniej Merceda de Valverde; opodal królewicz i infantka wesoło zabawiali się pośród kilku dam honorowych, a król Ferdynand zabawiał się w przeciwnym rogu olbrzymiej sali, raz po raz zwracając się z jakąś uwagą do siedzącego przy nim arcybiskupa Grenady, Ferdynanda de Talavera.

— Po zwycięstwie wnet zapomnia się o walkach! — rzekła królowa — zaledwie przed trzema dniami Maurowie opuścili Grenadę, a już prawie nie pamiętamy, że trzeba było wojować z nimi. Zdaje mi się, że nie zaważyłoby teraz pomyśleć o jakich rozrwkach. A ty co na to mówisz, Mercedo?

Zagadnięta przez królową dziewczyna powstała, skłoniwszy się głęboko przed Izabellą, odrzekła z uśmiechem.

— Jak zawsze i teraz miłościwa pani dobrze mówi!

— Byłam pewną, że tak powiesz — rozśmiała się królowa; — nie rumień się, moje dziecię, nie naganna to rzecz, gdy młodość lubi rozrywki. Więc zgoda! urządzamy turnieje. Kiedyż to odbyły się ostatnie?

— Przed trzema laty, w Sewilli, najjaśniejsza pani. Były bardzo świetne! o, bardzo! Ludwik de Bobadilla wysadził z siodła don Alonza de Ojedo, którego zowią „pierwszą lencą w Hiszpanii”.

— Dobrze, że przypomniłeś mi o Ludwiku de Bobadilla, — a zwracając się do Beatryxy de Cabrera rzekła królowa — jak sobie życzyłaś, kochana margrabino, mówiłam z królem o twoim siostrzeńcu. Zapewne Ferdynand niełatwo mu przebaczy, że podczas wojny wyjechał i zamiast walczyć z Maurami, przebywał na dworze francuskim. Zaiste! był to czyn niegodny kastylijskiego szlachcica!

— Prawda, miłościwa pani — odpowiedziała margrabina — mój siostrzeniec srodze zawinił na pozór — okoliczności może jednak usprawiedliwią jego postępowanie. Waszej królewskiej mości wiadomo, że matka Ludwika była francuską. Otóż zaraz po owym turnieju w Sewilli, dziad macierzysty wezwał go do siebie. Choroba starszka przeciągnęła się długo; po śmierci dziada, Ludwik musiał jeszcze pozostać we Francji dla odebrania swojego dziedzictwa. Gdy wrócił, już święciliśmy tryumf odniesionego zwycięstwa. Teraz wszakże, mój siostrzeniec pozostanie w Hiszpanii; pragnąłby swój oręż i majątek poświęcić na usługi ojczyzny, byleby tylko uzyskać przebaczenie królewskie.

— Postaram się o to — dobrotliwie przyrzekła Izabella.

— Don Ludwik zapoznał się... — wyrzekła Merceda i wraz zamilkła spuszczać oczy zmieszana, gdyż według praw etykiety, nie można było zaczynać rozmowy z królową, tylko odpowiadać gdy zagadnęła.

— Dalej, kochana Mercedo — łagodnie zachęcała Izabella — zaspokójże prędzej naszą ciekawość, z kim zapoznał się Ludwik de Bobadilla?

— Z Krzysztofem Kolumbem, miłościwa pani, i gotówby w każdej chwili przyjąć udział w wyprawie, którą genueńczyk tak gorąco pragnie doprowadzić do skutku.

Izabella odsunęła haft i zamyśliła się. Po długiej chwili milczenia, przeszła na drugi koniec sali, gdzie pochylony siedział król, stanęła za jego krzesłem i lekko położyła dłoń na ramieniu Ferdynanda.

Odwrócił się żywo i jakgdyby snując dalej głośno wątek swych myśli, zawołał:

— Ten Abdallah Boabdil, to człek wiarołomny! Pozwoliliśmy zostać w górach Alpaharach; przysięgał że będzie dla nas dobrym i życzliwym sąsiadem. Tymczasem otrzymujemy wieść, że Abdallah spiski krąży przeciwko nam. Nie! sta-

nowczo, dotąd nie będzie pokoju w Hiszpani, dopóki chociaż jeden Maur pozostanie po tej stronie morza Śródziemnego.

— Poradzimy sobie z niewiernymi — odpowiedziała królowa. — Teraz chciałabym ci przypomnieć, że kiedyś, przed siedmiu laty, Krzysztof Kolumb, sternik genueński, otrzymał od nas przyrzeczenie pomocy, w zamierzonej wyprawie do Indyj i państwa wielkiego chana. Wyprawa ta, jeśli się powiedzie, o czem ja nie wątpię, wielkie dla wiary świętej dla oświaty i królestwa Aragonii i Kastylii przyniesie korzyści. Więc myślę, że nadeszła już pora odpowiednia do spełnienia naszej obietnicy. Czy podzielasz moje zdanie, Ferdynandzie?

— Ale i owszem! podzielam je najzupełniej — odparł król, a przywoławszy skinieniem Ferdynanda de Talavera, który za zbliżeniem królowej dyskretnie usunął się na bok. — Księżę arcybiskupie — rzekł — dostojna moja małżonka życzy sobie aby projekt genueńczyka Kolumba rozpatrzyć raz jeszcze.

— Stanie się zadość woli miłościwej pani — odpowiedział arcybiskup Grenady — zwołam komisję uczonych mężów bezzwłocznie.

— Chciejcie wielebny ojcze uczynić to jutro.

— W takim razie, najjaśniejsi państwo raczą pozwolić, abym się natychmiast oddalił, muszę ułożyć listę mężów mających uczestniczyć w sesji i odpowiednio zarządzić przygotowania.

— Żegnajcie, wielebny ojcze! — rzekła Izabella — król i ja będziemy wam bardzo wdzięczni, za trudy poniesione w tej sprawie.

W parę dni potem rozpoczęto układy z Kolumbem, który w zamian za dopłynięcie do Azji przez Atlantyk zażądał: szlachectwa dziedzicznego dla siebie i całej swojej rodziny, tytułu „admirala Oceanu”, władzy i godności wicekróla na wszystkich ładach jakieby odkrył; dziesięciny ze znalezionej złota, srebra, drogocennych kamieni i wszelkich płodów gruntu, owoców i wonności, oraz prawa uczestniczenia w zyskach wszystkich przedsięwzięciach handlowych.

Żądania takie oburzyły króla Ferdynanda: nazwał Krzysztofa Kolumba chciwym nad miarę pyszałkiem, dworzanie potakiwali monarsze, a dona Izabella jakkolwiek przyjazna genueńczykowi, tym razem nie wyrzekła ani słowa w jego obronę, zapewne też potępiła go w duchu.

Uliczka Aben Alahmar, tak nazwana od imienia jednego z kalifów, przytykała do bastyonów i murów otaczających Grenadę, która podówczas potężną była twierdzą. Na wąskiej tej uliczce, wysokie domy miały kamienne wschody, ganki misternie kute z żelaza i ciężkie, żelazne furty, nad którymi tu i owdzie był ślad panowania Maurów półksiężyc:

Przed jednym z takich domów przy ulicy Aben Alahmar stał Ludwik de Bobadilla. Gdy poruszył kilkakrotnie kołatką zawieszoną u furty i nikt mu nie otwierał, sam ją odemknął silnem pchnięciem i wkroczył w głąb starego domu. Minąwszy kilkoro drzwi w korytarzu, otworzył jedne i wszedł do obszernej izby. Mało w niej było sprzętów i to bardzo ubogich, okna w głęboką wsunięte framugę, skąpo udzielały światła.

— Witajcie zacny panie! — zawołał wesoło, przychodząc złożyć wam swoją czolobitność, a także jako poseł z pozdrowieniem od mojej ciotki i uroczej senoryty de Valverde. Ale... Przebóg! co ja widzę? wszak gotujecie się do podróży?

— A tak! — odpowiedział Krzysztof Kolumb — dziś jeszcze opuszczam Grenadę, a rychło pragnę nazawsze pożegnać Hiszpanię. Skoro nie mogę już liczyć na pomoc ich krolewskich mości Ferdynanda i Izabelli, muszę tej pomocy dopraszać się gdzieindziej. Brat mój Bartolomeo, jest w drodze do Anglii, dla mojej sprawy, ja sam na dwór francuski wybieram się szukać orędowników.

— Gdybyście — nieśmiało wtrącił Ludwik — gdybyście zacny panie, zechcieli na mniejszem wynagrodzeniu poprzeć...

— Słuchaj, młodzieńcze — przerwał Kolumb — wyznam ci najskrytsze moje myśli, z których jeszcze dotąd nie zwierza-

łem się nikomu. Nie chciwość mną powoduje, och! nie, bynajmniej. Chcę bogactw wielkich, ogromnych. Prawda! lecz nie dla tego abym ich używał, jeno, aby grób Zbawiciela odkupić z rąk niewiernych... Dać świętą, prawdziwą wiarę, bałwochwalcom w nieznanym kraju żyjącym, odzyskać grób Chrystusa, być stróżem Jego grobu i po trudach życia spocząć w Ziemi świętej, oto co jest pragnieniem mojem i nadzieją umiłowaną i celem do którego dążę od najmłodszej młodości. Teraz już też lata i zawody ubieliły włosy i zgięły barki moje; trzeba mi się śpieszyć bardzo, aby mię śmierć nie zaskoczyła, zanim ten cel osiągnę... Uzas mi już w drogę!

Rosły muł andaluzyjski objuczony stał przed domem. Krzysztof Kolumb ujął go za uźdę.

Poszli.

Don Ludwik za miasto odprowadził przyjaciela.

— Żegnajcie dostojny Kolumbie, ale nie nadługo; wnet podążę za wami — rzekł — sprzedam jakąś część moich majątkości... a choćby mi przyszło spieniężyć wszystkie dobra, nawet wszelkie rodzinne klejnoty hrabiów de Lhera, zbiórę potrzebną na wyprawę sumę. Ho! ho! zobaczycie jak się z tem wszystkim uwinę prędko!

— Daj Boże! — uśmiechnął się genueńczyk — do rychłego widzenia, młody mój przyjacielu!

Rozstali się; Ludwik de Bobadilla, wrócił do Grenady. Krzysztof Kolumb podążył do klasztoru la Rabida, gdzie był pewien zawsze znaleźć gościnność, otuchę, dobrą radę i gdzie mały Diego oczekiwał nań z utęsknieniem.

(d. c. n.)

Wybuch podmorskiego wulkanu.

Wulkanów liczymy na powierzchni ziemi około kilku tysięcy: są to, że się tak wyrazimy, klapy bezpieczeństwa dla naszej planety, którą też można porównać do kotła parowego. Rozgrzane gazy napelniają bowiem jej wnętrze i wywierają wielkie ciśnienie na skorupę; gdyby nie kratery wulkaniczne, przez które pary i gazy uchodzą na zewnątrz, napewno skorupa ziemska rozleciałaby się w kawałki. Myliliby się ten, ktoby twierdził, że wulkany znajdują się tylko na lądzie stałym; bardzo często się zdarza, że krater otwierał się na dnie morskiem, które, jak wiadomo, posiada swe góry, doliny płaskowódza. Takie kratery podmorskie przedstawiają bardzo ciekawe zjawiska, a zwłaszcza wtedy, gdy pojawiają się nagle i niespodziewanie. Wybuch odbywa się w łonie oceanu w warunkach całkiem odmiennych, aniżeli w powietrzu; lawa rozpalona, stykając się z wodą, zamienia ją w parę; gazy wyrzucane przebiegają z sykiem i hukiem warstwą wody leżącą ponad kraterem, i ulegają bardzo dziwnym przekształceniom. Otóż jedno z podobnych zjawisk wydarzyło się w końcu ubiegłego roku w październiku w sąsiedztwie malej wysepki Pantelaryi, położonej na wschód od Sycylii, na morzu Śródziemnem.

W dniu 14 października na wysepce tej dały się uczuwać wstrząśnienia ziemi, które powtarzały się z coraz większą siłą i równocześnie prawie w pobliżu wysepki ujrano gęsty dym i parę nad morzem, które falowało w tem miejscu i kipiało. Wyrzucane z sykiem przez wulkan kawały lawy zastęgały w wodzie, para rozpierała je, tworząc w ich wnętrzu pustą przestrzeń. Dzięki tej okoliczności, bryły nie tonęły odrazu, lecz utrzymywały się na powierzchni morza przez pewien czas, poczem pękały z hukiem na podobieństwo bomby; para bowiem, zawarta w nich, kurczyła się pod wpływem zimnej wody przez co tworzyła się próżnia, w którą gwałtownie wdzierало się powietrze.

Bryły te, skupiając się, utworzyły po kilku dniach wysepkę 800 kroków średnicy mającą. Wkrótce potem wstrząśnienia ustały; siły podziemne wróciły do równowagi.

Wł. U.



PIEŚŃ ROLNIKA.

Nie znam co to niepokoje,
Czyli rola da mnie chleba; --
Śmiało co rok ziarno moje
Pod opiekę rzucam nieba!

A gdy rzucam, mojej dłoni
Przewodniczy palec Boży —
On przed mrozem je zasłoni,
I pod ziemią je rozmnoży.

Na mą rolę deszcz i rosy
Z niewiadomej płyną ręki —
Rzucam ziarno — wstają kłosa...
Boże! Tobie za to dzięki!

Kiedy wiosną zagon szary,
Nieurodzaj mi zawróżył —
Bóg próbuje mojej wiary,
Lub na karę jam zasłużył.

On nasz Ojciec, On za truda
Nie odmówi w pomoc ręki —
Zawsze stanie Mu na cuda,
Byle stało nam na dzięki!

G. P.

SZTUKA CZY RZEMIOSŁO

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Powiedzcie nam jeszcze coś o Włoszech — odezwał się błagalnie Sachs — czy to prawda, że oprócz Rafaela, Michała Anioła i Correggia, w kraju tym znajdują się jeszcze inni znakomici malarze?

— Istotnie — odrzekł Fryderyk. — Niedarmo Włochy nazywają się ojczyzną malarzy. Oprócz tych trzech sztukmistrzów mogą ci jeszcze wymienić Tycyana i Leonarda da Vinci: *) Ale żaden z nich nie dorównał Rafaelowi.

— Jakże wygląda ten książę malarzy? — zapytał Cranach.

— Jest to mężczyzna mający niespełna lat trzydzieści a wyglądający młodziej jeszcze — odrzekł Fryderyk. — Szczerzy, wysoki, szlachetną ma postawę, ciemne, trochę wijące się włosy i duże marzące oczy, wyraz których zdradza artystę.

Dalszą rozmowę przerwało uderzenie zegara, który wybił dziewiątą, zwiastując nadejście nocy.

Gospodarz, który tymczasem tłumiąc gniew, skończył wieczerzę, podniósł się, z hałasem odsunął krzesło i rzekł z naciskiem:

*) Sławny malarz włoski. Jednym z najznakomitszych jego obrazów jest „Wieczerza Pańska”.

— Szanowni panowie, zegar na wieży św. Seweryna wybił dziewiątą a o tej porze w zakładzie moim gaszą zwykle światła i goście udają się na spoczynek.

— Nie mamy nic przeciw temu zwyczajowi — odrzekł Cranach. — Przedtem jednak chcielibyśmy zapłacić co się od nas należy i wypić jeszcze dzban piwa na pożegnanie.

Wszyscy sięgnęli do kieszeni wyjmując sakiewki, a gospodarz obchodził kolejno gości i odbierał pieniądze. Wreszcie podszedł do Jana Sachsa, młodego podróżnego, który spoglądał przed siebie z roztagowaniem i dotąd nie wyjął z kieszeni pieniędzy.

— No, mój przyjacielu, a nasz rachunek? — rzekł pan Tomasz, klepiąc go ręką po ramieniu.

Sachs wzdrygnął się, jak gdyby teraz dopiero zrozumiał o co chodzi, machinalnie sięgnął do kieszeni, wyjął sakiewkę i otworzył ją... ale ani grosza nie znalazł. Z wyrazem komicznego zakłopotania wpa-

trywał się, słowa nie mówiąc, w czerwona, płonąca gniewem twarz gospodarza. Hubert podskoczył i chciał nieznacznie swoją sakiewkę wsunąć w rękę biednemu chłopcu, ale dostrzegł to ojciec i odepchnął go z gniewem.

— Panie gospodarzu!... panie gospodarzu! — wyjąkał wreszcie Sachs zawstydzony — zapomniałem o tem, że nie mam już ani grosza... Później gdy coś zarobię...

Po kilku obelżywych wyrazach przerwał tłumaczenie, lecz mistrz Łukasz Cranach załagodził sprawę przychodząc w pomoc zawstydzonemu młodzieńcowi. Jan Sachs z wyrazem głębokiej wdzięczności uściśnął rękę artysty i oddalił się szybko.

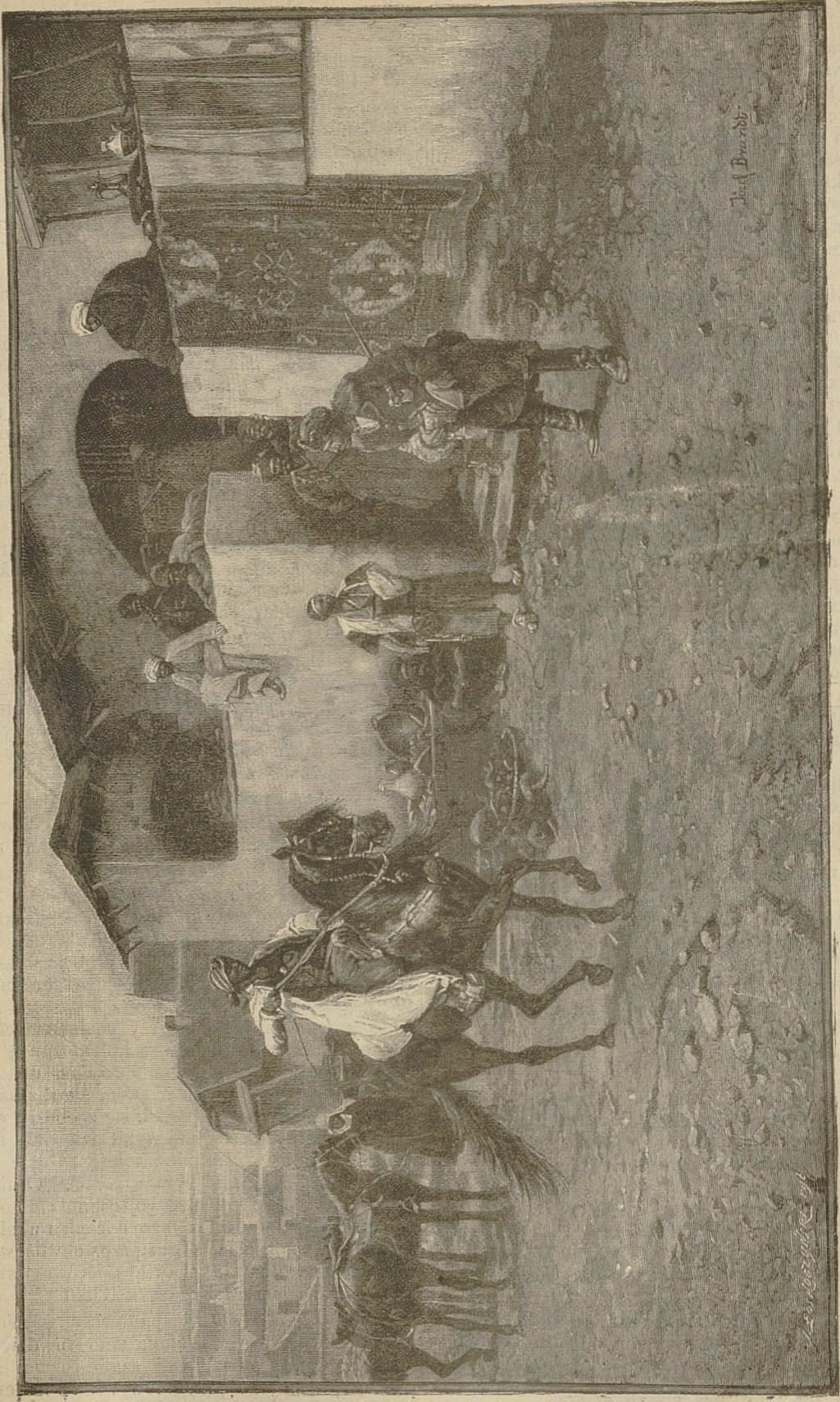
II.

NIEZGODA.

Kilkanaście lat upłynęło od opisanego wyżej wieczoru, w oberży „Pod Dzwonem” niejedna zmiana zaszła w ciągu owego czasu. Pan Tomasz postarzał się, posiwiiał, ale zdrow zawsze i czerstwy żelazną dłonią dzierżył ster rządów w kuchni i spiżarni. Zona jego, dobra i łagodna pani Katarzyna, zamknęła oczy na wieki, a po jej śmierci dopiero mąż odczuł całą wartość skarbu, którego przez lat tyle cenić nie umiał. Głęboko też i szczerze przeboleał stratę wiernej towarzyski życia, ale boleść ta nie zmiękczyła jego serca: przeciwnie nawet po śmierci żony stał się surowszym niżeli nim był dawniej. Hubert niejedną łzę gorzką wylał na mogile matki. Ojciec nie umiał kierować miękko, do marzycielstwa skłonna naturą chłopca, który z dniem każdym tracił do niego zaufanie. Surowe a często niesłuszne napomnienia, napełniały goryczą serce Huberta, rozbudzając w nim te właśnie dążności i pragnienia, które ojciec uważał za najbardziej godne nagany. On sam nie pojmował nic poza tem, co dotyczyło się gospodarstwa, wygody gości, zapasów piwa i mięsa. Hubert przeciwnie od dzieciństwa przywykł unosić się myślą ponad zabiegi rzeczywistości ku krainom dobra i piękna. Obaj popadali zatem w ostateczność nie rozumiejąc, że prawdziwa wyższość człowieka polega na harmonijnym kojarzeniu trudów powszednich z wznioślejszemi dążnościami i pragnieniami.

Dopóki żyła matka, która niewysłowioną swą dobrocią godziła sprzeczne usposobienia ojca i syna dopóty rozdźwięk ten nie był tak wyraźnym. Ale głos jej umilkł na wieki i nie brzmiał już słowa pojednania, ojciec znajdował codziennie nowe powody do niezadowolenia, syn zaś na każdym kroku czuł się dotkniętym w tem, co mu było najświętszem.

Uciekając z domu, Hubert nieraz dniami całemi prześiadywał u majstra Krampla, który pozostawał dotąd w przyjaznych stosunkach z właścicielem oberży. Syn jego, Fryderyk Klein miał już własne ognisko domowe, od lat kilku był ojcem rodziny i właścicielem warsztatu, w którym mnóstwo rąk pracowało pod jego dozorem i według wzorów przez niego wykonanych. Fryderyk był zawsze równie gorącym jak przed laty miłośnikiem wszystkiego co piękne i szlachetne, to też Hubert rad chętnie przebywał w jego towarzystwie. Było mu to jednak surowo wzbronionem przez ojca, który lękał się



KONIE ARABSKIE (Z obraza I. Brandta).

niewymownie, aby syn jego nie nabrał zamiłowania do sztuki i nie zapragnął w przyszłości jej się poświęcić. W oczach starego Hubermanna sztukmistrz stał na równi z próżniakiem.

Do stałych a zawsze mile widzianych gości w oberży „pod Dzwonem” należał pan Krampel ojciec, który podzielał w zupełności zasady pana Tomasza.

Będąc nieprzyjacielem wszelkich nowości stary Krampel nie posiadał się z gniewu widząc, że dawny, pełen prostoty ubiór narodowy coraz więcej wychodzi z użycia, ustępując miejsca kosztownym sukniom, robionym według wzorów przywożonych z Francji lub z Hiszpanii.

Pewnego dnia Hubert usługując gościom przy obiedzie potrafił nogą o krzesło i upuścił na ziemię dzban pełen piwa; pan Hubermann, który dnia tego był więcej niż zwykle rozdrażnionym, nie zważając na obecność gości, bardzo surowo wyłajał syna i kazał mu wynosić się z domu. Zasmucony doznaniem upokorzenia Hubert udał się do pana Krampła. chcąc tam poczekać aż ojciec z gniewu ochłonie. Wszedłszy do pracowni, zastał w niej majstra i starego czeladnika zajętych wykończaniem jakiejś pilnej roboty. Pan Krampel, nie spojrzawszy nawet na wchodzącego chłopca, czeladnik krajał z widocznym pośpiechem; obaj mieli tak zasepione czoła jak gdyby dnia tego wszyscy ludzie byli gniewni i niezadowoleni. Nadaremnie Hubert próbował zawiązać z nimi rozmowę. Nikt nie odpowiadał na nieśmiało czynione przez niego uwagi: zaprzestali ich więc i usiadł przy oknie.

Nagle dało się słyszeć stukanie do drzwi.

Pan Krampel nie przerywając roboty zawołał „proszę wejść” i po chwili stanął na progu nieznamy młodzieniec ubrany wytwornie podług najświeższej mody.

— Dzień dobry panom! — rzekł uchylając kapelusza.

— Czem mogę panu służyć? — zapytał Krampel.

— Mam wielkie zmartwienie, bo oddano mi wczoraj od krawca ubranie, którego niepodobna włożyć na siebie. Usłyszawszy, że pan jesteś bardzo biegłym w swoim zawodzie, przychodzę prosić o zrobienie mi innego stroju, bo w tym który mam na sobie, wstyd mi pokazać się ludziom.

— Jak najchętniej — odrzekł Krampel, którego oblicze rozpozgodziło się w mgnieniu oka — z jakiego materiału każe pan zrobić ubranie?

— Z fioletowego aksamitu, kołnierza i mankiety niech będą haftowane złotem a podszywka z żółtej materji — odpowiedział młody strojnisi pokręcając wąsa.

— A więc to ma być ubranie według tych nowych wzorów? — ponuro zapytał Krampel.

— Naturalnie, hiszpańskim krojem — brzmiała odpowiedź. — Niech pan nie oszczędza złota ani aksamitu. Mój sąsiad Jerzy von Hochberg przechwalał się onegdaj, że wziął na ubranie dziewięćdziesiąt łokci. Nie chcę być gorszym od niego i jeżeli Jerzy von Hochberg bierze na ubranie dziewięćdziesiąt łokci, to ja, baron von Waldheim, wezmę sto co najmniej; proszę też bardzo, niech pan nie żałuje złota, nie oszczędza aksamitu, stać mnie na to i zapłacę tyle ile pan zażąda.

— Mój panie — odrzekł Krampel, na twarzy którego malowało się niezadowolenie — niech pan nie ma do mnie urazy, ale ja nie podejmę się roboty takiego stroju.

— Dlaczego? — ze zdziwieniem zapytał baron. — Czy pan nie masz czasu czy też może za mało — sobie ufasz? — z niewymownem zdziwieniem zapytał młody baron.

— Mylicie się, panie — odparł Krampel — brak mi nie czasu, ani umiejętności ale chęci. Nie chcę przykładać ręki do zepsucia, które z dniem każdym szatan coraz więcej rozsiewa po ziemi.

— Ależ to żarty! — ze śmiechem wykrzyknął młodzieniec! — Gadacie o zepsuciu i o szatanie, zapominając, że chodzi tu o zrobienie mi stroju, a to ze złemi duchami nie ma żadnej łączności.

— I owszem! — z zapalem zawołał stary krawiec — bo próżność, marnotrawstwo, zamiłowanie w kosztownych strojach torują szatanowi drogę do serc ludzkich.

— Bredzisz pan jak w malignie — szyderczo wtrącił baron.

— Nie, łaskawy panie, nie mam gorączki i jestem przy zdrowych zmysłach — odrzekł spokojnie Krampel — ale ten zbytek przejawiający się w kosztownych strojach jest dla mnie ciężką zgryzotą i kiedyś wpędzi mnie do grobu. Czy to rzecz słyszana — mówił dalej ze wzrastającym zapalem — aby cena jednego ubioru przenosiła wartość całej wioski?

— Ach! to prawda! — wesoło zauważył baron — stroje pochłonęły już dwie wioski, które miałem w spadku po ojcu a i z trzeciej wkrótce śladu nie zostanie.

— I pan to mówisz ze śmiechem? Pan to w żart obracasz? — surowo upominał go Krampel! Co by na to powiedział ojciec pański, nieboszczyk pan baron, gdyby powstał z grobu? Sto łokci aksamitu na ubranie — to coś niestychanego! potwornego! — białad majster, spoglądając na starego czeladnika, który wymownem skinieniem głowy potakiwał jego słowom.

— Więc mi pan odmawiasz stanowczo i godzisz się na to abym poszedł do innego krawca? — ponuro zapytał baron, zniecierpliwiony słuchaniem morałów.

— Odmawiam! po stokroć odmawiam, bo nie chcę mieć nic wspólnego ze sprawami szatana — zawołał Krampel nie posiadając się z gniewu. — Jeżeli zły duch tak panem owładnął, że nie masz siły wyzwolić się z pod jego władzy, to idź pan do innego krawca, ja ubrania szyć nie będę. Nie pana pierwszego odprawiam z taką odpowiedzią; ot! wczoraj także odmówiłem jednemu młodemu wojskowemu dlatego, że nie chciał słuchać głosu rozsądku i nosić takiego ubioru, w jakim chodzili jego ojcowie i prajcowie:

A to niestychane! — zawołał baron trzęsąc się z gniewu. — Nie przyszedłem tu po to, aby słuchać kazania i aby mnie pierwszy lepszy rzemieślnik śmiał za drzwi wyrzucać... O! gdyby coś podobnego zdarzyło się dawniej, kiedy ster władzy spoczywał w naszych rękach, miałbyś się z pyszna!

— Uspokójcie się panie — łagodnie odrzekł Krampel. — Nie miałem zamiaru was obrażać ale roboty nie wezmę i sami przekonacie się kiedyś, że miałem słusność. Doczekamy się jeszcze takich czasów, kiedy księża z kazalnicy powstawać będą przeciw zbytkom, a każdy rozumny człowiek potępi nierozsądnych marnotrawców.

— Dość już tego! — zawołał baron — noga moja więcej tutaj nie postanie! — i nie kiwnąwszy nawet głową obecnym wybiegł z warsztatu trzasnąwszy drzwiami za sobą.

Zdarzenie to nie przyczyniło się bynajmniej do wprawienia pana Krampła w lepszy humor. Z zasepionem obliczem usiadł naprzeciwko starego czeladnika i zajął się robotą nie odpowiadając na pytania Huberta, który kilkakrotnie próbował zawiązać rozmowę. Widząc wreszcie, że jego usiłowania nie odnoszą skutku, chłopiec pożegnał obecnych, opuścił niegościnnie dom Krampła i wyszedł na ulicę w nadziei, że tu przynajmniej nie ujrzy pochmurnych twarzy. Stanął na chodniku, nie wiedząc, w którą stronę się zwrócić. Nie śmiał wracać do domu zanim ojciec uda się na spoczynek, aby znowu postępowaniem swem nie zasłużyć na gniew jego. Zazwyczaj goście rozchodzili się z oberży wtedy dopiero, gdy zegar na wieży kościelnej wybił dziewiątą a teraz ósmej jeszcze nie było. Co zrobić z sobą? Gdzie spędzić ten czas? Może wrócić znowu do Krampła?... O nie! myśl ta sprawiła mu przykrość; ogarnęła go tęsknota do obcowania z takimi ludźmi, którzyby smutek jego odczuli i ukoili go słowami serdecznego współczucia. Stał przez chwilę wahając się jeszcze, wreszcie machinalnie prawie skierował swe kroki ku ulicy, przy której mieszkał Fryderyk Klein.

Wesołość i spokój panowały w mieszkaniu złotnika. Przed chwilą właśnie ukończono tu dzienną pracę: Fryderyk ustawiał w oszklonej szafie rozmaite wyroby ze złota i srebra; żona jego przygotowywała wiecezrę, w czem gorliwie dopomagali jej zgłodniałi czeladnicy. Dwoje dzieci bawiło się przy małym stoliku.

— Jak się masz, chłopcze! — zawołał Klein spostrzegłszy wchodzącego Huberta. — Oddawna już nie dałeś nam znaku życia o sobie. Może chory byłeś a może... nie dokoń-

czył, a Hubert ściskając podaną sobie dłoń złotnika, zarumienił się żywo.

— No, dajmy temu pokój — rzekł Klein po chwili milczenia — domyślam się dlaczego nie odwiedziłeś nas przez tyle czasu. Ojciec twój nie ma do mnie sympatii, o co zresztą nie mam żalu do niego. Ale pokaż-że mi się jak wyglądasz — mówił dalej prowadząc Huberta do komina, na którym płonął jasny ogień. — Ho! ho! wyrosłeś ogromnie, tylko wydajesz mi się bardzo szczupłym. Ileż masz lat?

— W marcu skończyłem piętnaście lat — odpowiedział Hubert, patrząc z ufnością na pocziwe oblicze gospodarza domu.

(d. c. n.)

Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

Drzwi pierwsze — te, któremi się tu dostał — były niezmiernie mocne, grube i z zewnątrz zasunięte być musiały silnymi ryglami; nie sposób więc myśleć o wylamaniu ich.

Drzwi drugie — z za których dał mu się słyszeć śpiew — wydawały się nieco zniszczonymi. Deski przegniły były miejscami... Tędy może przejście utorować sobie można?

— Tak... tędy! tędy! — powtarzał młody hrabia odzyskawszy już zwykłą zimną krew.

Nie miał jednak czasu do stracenia; prawdopodobnie bowiem lada chwila wejdzie ktoś do krypty przypuszczając, że więzień uległ już działaniu usypiającego środka.

Robota poszła mu łatwiej niż się spodziewał z powodu pleśni, która stoczyła drzewo, szczególnie w miejscu, gdzie przybite były zasuw. Dopomagając sobie składanym nożem, hrabia Franciszek bez żadnego prawie hałasu okroił drzewo w około okucia, a w trzy godziny potem, przez otwór we drzwiach zrobiony rękę po łokieć wysunawszy, odsunął rygle, poczem z łatwością już otworzyły się drzwi przeraźliwie skrzypnąwszy na zawiasach.

Zmordowany pracą w ciężkim i dusznym powietrzu dokonaną, powrócił Franciszek na podwórko, aby tam odechnąć swobodniej.

Teraz już promienie słońca nie złościły szczytu murów i podwórko pogrążone było w ciemności. W górze, nad głową więźnia, błyszczało kilka gwiazd, wyglądających tak, jakby się na nie przez teleskop patrzyło. Tu i owdzie błąkały się drobne chmurki, które lekki wietrzyk tchnieniem swoim z oczu patrzącego usuwał. Koloryt atmosfery wskazywał, że księżyc, tu jeszcze niewidoczny, wznosić się już musi nad górami, a zatem musiało już być około dziewiątej wieczorem.

Franciszek powrócił aby posilić się nieco i ugasić pragnienie wodą spływającą w ocembrowanie; wodę zaś ze dzbanka wylał na ziemię, potem nóż za pasem poprawiwszy, przekroczył próg i drzwi zamknął za sobą.

Kto wie, teraz może spotka nieszczęśliwą Stille, błądzącą po tych podziemnych galeryach? Na tę myśl serce mu tak biło, że brakło mu w piersi oddechu.

Zaledwie kilka postąpiwszy kroków, potknął się o schód. W istocie tak było, jak myślał: zaczynały się tam schody, na które wstępując, rachował jeden za drugim stopnie. Sześćdziesiąt ich było tylko, zamiast siedmdziesięciu siedmiu, które naliczył, gdy z dziedzińca schodził w głąb podziemia. Brakowało więc jeszcze jakie ośm stóp, żeby miejscowość gdzie się znajdował zrównała się z poziomem dziedzińca.

Mniemając, że najlepiej uczyni, gdy trzymać się będzie ciemnego korytarza, którego ścian dotykał wyciągniętymi rękoma, ciągle zmierzał przed siebie, nie napotykając żadnej przeszkody, ani drzwi, ani kraty.

Korytarz załamywał się jednak kilka razy pod kątem prostym, to na prawo, to na lewo, tak, że idąc nim z jakie pół-

godziny, nie potrafił już Franciszek zmiarkować, w jakim się znajduje położeniu stosunkowo do furtki, wychodzącej na prost płaskowzgórza Orgallu.

Zatrzymawszy się na kilka minut dla nabrania tchu, znów dalej szedł nieskończenie długim korytarzem, gdy niespodziewanie przeszkodę przed sobą napotkał.

Przeszkodą tą była wysoka ściana muru z cegieł wzniesionego.

Obmacał go ręką i, jak wysoko dosięgnął, nigdzie w nim żadnego nie znalazł otworu.

Z tej więc strony nie było wcale wyjścia.

Franciszek nie mógł się powstrzymać, aż krzyknął z bólu, ostatnia bowiem jego nadzieja rozbijała się o tę zapórę. Gięły się pod nim kolana, zawrót czuł w głowie, aż wreszcie sił mu zabrakło: omdlały osunął się na ziemię.

Lecz właśnie tuż nad ziemią znajdowała się w ścianie niewielka szczelina, poboczne zaś cegły chwiały się pod dotknięciem w osadzie swojej wzruszone...

— Tędy! tak... tędy! — zawołał Franciszek nagle z omdlenia otrzeźwiony.

I wyjmować już zaczynał cegły, gdy z drugiej strony ściany dał się słyszeć jakiś hałas.

Franciszek zaprzestał swojej roboty. Hałas, szmer jakiś raczej, trwał ciągle a jednocześnie przymyk światła wciskał się przez szczelinę.

Zajrzał przez nią Franciszek. Z tamtej strony muru znajdowała się kaplica zamkowa. Czas i opuszczenie doprowadziły ją do jak najopłakańszego stanu: waliło się sklepienie, jako tako jeszcze podtrzymywane chylącemi się ku upadkowi filarami; kilka ostrołukowych arkad groziło także zawaleniem się, rami gotyckich okien chwiały się w osadzie swojej, delikatnie zarysowane wnętrza świeciły szczerbami, które czas poczynił w czerniałym od starości murze. Tu i owdzie wznosił się kurzem przysypany marmur, pod którym spoczywał jaki przodek rodziny Gorców; w głębi świątynki sterczały resztki ołtarza, którego przednią ścianę zdobiły zniszczone, odrapane rzeźby; absydę osłaniały jeszcze resztki dachu, którym burze dotąd ostać się pozwoliły. Na samym szczycie chwiała się dzwonniczka, z której aż do samej ziemi zwieszał się sznur. Wprawiał on w ruch dzwonek kapliczny, który słyszeć się czasem dawał ku niewysłowionemu przerażeniu mieszkańców Werstu, zapóźnionych na drodze wiodącej przez wąwóz.

Do tej kaplicy, od tak dawna już opustoszałej wystawionej na wszystkie zmiany ostrego klimatu Karpat, wszedł teraz jakiś człowiek, trzymając w rękę pochodnię, z której blask bijący rzucał mu wyraziste na twarz światło.

Franciszek poznał go natychmiast. Tym człowiekiem był Orfanik, ów dziwak, który stanowił jedyne towarzystwo barona przez cały czas jego pobytu w wielkich miastach włoskich, oryginał, który idąc ulicami, wymachiwał rękoma i mówił coś ciągle do siebie, uczony przez nikogo nie pojmowany, wynalazca zawsze w pogoni za jakąś chimera, który niewątpliwie oddawał wynalazki swoje na usługi Rudolfa z Gorcu!

Jeżeli więc Franciszek mógł mieć dotychczas jakieś wątpliwości co do pobytu barona w tajemniczym zamku, to wątpliwość ta zmieniała się w pewność z chwilą, gdy ujrzał na własne oczy Orfanika.

(d. c. n.)

Sprawozdanie z konkursu robót.

Pracowite rączki kochanej naszej gromadki złożyły wcale okazały stos robót, mniej lub więcej umiejętnie uszytych, lecz co do najmniejszego kawałeczka niezaprzeczenie użytecznych dla dziatwy, która korzystać z niej będzie. Pomimo rozrywek, jakie z sobą przynoszą wakacje, nie pożałowały dzieweczki pracy, to też z prawdziwą przyjemnością wyliczamy tu pseudonimy tych, które zasługują na nagrodę.

Nagroda pierwszego stopnia ze szczególnem odznaczeniem należy się czternastoletnim, pilnym i hojnym robotnikom: Pieszczoście, Marszałkowej, Błędnemu ognikowi oraz 13 letniej Czarnotce. Roboty przez nie nadesłane wyróżniają się tak wykończeniem jak i ilością przedmiotów, stanowiących okazy konkursowe, słuszną jest więc, aby kochane dawczyni nagrodą i pochwałą wyróżnić.

Nagrody zwykle pierwszego stopnia otrzymują: 14 letnie: Dziewoja, Przyjaciółka mamy, Brunetka, Różyczka chińska, Lobelia, Ach! Pondiszery! Kukułka z p. L 13 letnie: Kwiatek pustyni, Jagódka pod., Muszelka, 12 letnie: Mucha latająca, Rezeda, Ranna zorza. 11 letnie: Marylka God, Świtezianka Iskierka z p. L., 10 let.: Sikorka, 9 let.: Różowa kokardka, Żabka, Ciche westchnienie, Kuropatewka z nad Warty, 8 letnia Pociuszka rodziców i 6 letnia Irenka M. Równność ściegów, staranność wykończenia, prostota kroju cechują te roboty, z których wiele musiało nawet być utrudzającymi dla tak małych i tak mało jeszcze wprawnych paluszków.

Do nagród drugiego stopnia mają prawo: 14 letnie: Topolka z nad Jody, 13 letnie: Kampanula, Serdeczna dziewczynka, Świątełko, 12 letnie: Kwiatek polny, Szarotka, 11 letnie: Pszeniczka, Marcinowa, 10 letnie: Gałązka storczyku, Fregata, Werbel domowy, Brzydotka z nad Dniestru, 9 letnie: Basiulka, Żabka, i Blondynka z nad Pilicy, 8 letni Kopciuszek i 7 letnia Stefcia M.

Oprócz tego, nadesłano roboty, mniej staranne lecz i te się przydadzą wszystkie.

To też wobec nadchodzącej zimy, która niezbędniejszą czyni niż kiedykolwiek ciepłą odzież dla ubogiej dziewczyny, serdeczne składamy dzięki kochanym dziewczętom naszym za gotowość, z jaką i tym razem odpowiedziały na nasze wezwanie. Skorzystają na niej niewątpliwie dzieci, które z łaski waszej otrzymają ubranie, niemniej jednak skorzystacie i wy same, zyskując usługę przed Bogiem, przeświadczenie o spełnieniu dobrego uczynku a wreszcie — bo i z tem liczyć się trzeba — nabywając umiejętności szycia, zawsze potrzebnej kobietom. Co do nas zaś szczerze radzi jesteśmy, że raz więcej mieliśmy sposobność przekonać się, jak pocziwają jest ta młodociana rodzinka, którą całym sercem kocha

Redakcyja.

Upraszamy zawsze jak najmocniej, aby ci dla których to jest możebnem, zgłaszali się sami do naszej redakcyi po odbiór nagród.

ROZMAITOŚCI.

Jeden z duńskich uczonych przesłał obecnie paryzkiej Akademii nauk, ciekawą wiadomość o istnieniu pewnego gatunku ryb obdarzonych głosem. Ryby te spotykają się w wodach Ameryki południowej, są na stopę długie, pokryte lśniąco tęczy barw łuską. Głowę mają dużą, paszczę szeroką, przelyk zaś rozciągający się pozwala im połykać nawet większe mięczaki i ryby. Są nadzwyczaj żarłoczne i te które złowiono, miały więcej w żołądku pożywienia, niż same ważyły. Posiadają one struny, zbliżone budową wewnętrzną do strun głosowych, które głos wydają za pomocą ściągania i rozszerzania

pęcherzyków napełnionych powietrzem. Głos ten jest monotonny, podobny do szybkiego uderzenia dwoma pałeczkami w bęben. Między śpiewem ptaków i ryb tych, zachodzi taka różnica, jak pomiędzy grą na flecie a odgłosem kotłów, nikt więc nie może się nim zachwycać i wziąć go za głos owych syren, któremi wyobraźnia pogańskiej starożytności, zaludniała niegdyś morza.

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Nasze imiona pierwsze zastępuje w mowie;
Drugie, trzecie wyrazem jest pewnej wartości;
Razem tak się pamiętne w Grecyi miasto zowie,
Przez Argiwów zburzone w odległej przeszłości.

ŁAMIGŁÓWKA.

od Niezapominajki z n. W. dla Gołąbki.

W O J T G H T T S T K T P D D

 * * * * *

 y e a a a z r o t n n a d a

15 wyrazów pięciogłoskowych ułożyć pionowo, aby litery oznaczone gwiazdkami utworzyły pseudonym dobrze znany czytelnikom Wieczorów. 1. Jezioro w gub. suwał. 2. Wytwór roślin rozwijający się zkwiatów. 3. Miasto portowe nad Morzem Czarnem. 4. Instrument dęty. 5. Szkielet zwierzo-krzewu. 6. Wulkan w Europie. 7. Ptak z rzędu pletwonogich, gnieździ się na skałach i drzewach. 8. Zwierzę z rodziny gruboskórnych żyje w Ameryce półn. 9. Część mowy odmienna. 10. Rzymski historyk ur. 54 r. po Chr. 11. Miasto gub. w Rosyi. 12. Nazwa olbrzyma w mitologii greckiej. 13. Nazwa dawnej broni. 14. Król hebrajski. 15. Dopływ Dunaju.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.

Szarady: Ka — wa — łek.

Zadania konikowego:

Idą z okiem tak wesołem,
Pług tak lekko płynie w ziemi,
Pada chłopek, bije czołem,
Łzami zlewa się wdzięcznemi,
Gdy wtem anioł promienisty
Nagle w górę wzlata, leci.
A jak tęcza pas ognisty
Długi ślad się za nim świeci.

(Z poematu: „Święty Izydor” F. Morawskiego).

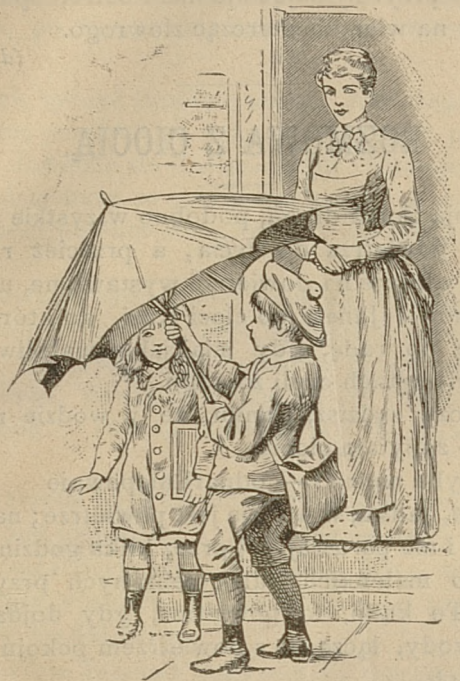
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurowa Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TRĘŚĆ: Bażant uszaty (z drzew.) — Do ziemi nieznaney p. Halinę Tokarzewską — Wybuch podmorskiego wulkanu. — Pieśń rolnika (z drzew.) — Konie arabskie (drzeworyt). — Sztuka czy rzemiosło, z niemieckiego. — Tajemniczy zamek. — Sprawozdanie z konkursu robót. — Rozmaitości. — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Przygoda z parasolem (z drzew.) — Rozmowa z cicią. — Czyja wina? wiersz p. Helenę Bojarską. — Przygody Iskierki, Peralki i Brylancika. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W krainie Gwebrow, Andrzeja Laurie, przekład T. P.

WIECZORY RODZINNE.



dzieci uradowane poszły wesoło pod parasolem...

KŁOPOTY Z PARASOLEM.

— Heniu, Kaziu, włóżcie gumowe okrycia i grube buciki, bo niebo spochmurniało, zapewne niedługo deszcz zacznie padać — tak mówiła mama do synka i córeczki, którzy, kończąc śniadanie, zabierali się iść do szkoły.

— A może lepiej nie iść wcale? — zapytał Kazio, który chętnie korzystał z każdej sposobności, by próżnować, i już w nadziei, że mama zostać w domu pozwoli, przestał pakować książki do torebki.

— Wcale nie, jesteś zbyt przezorny. Szkoły nie trzeba opuszczać nawet w niepogodę, tylko powinniście się ubrać odpowiednio.

— Ależ mamusi, dopiero ósma godzina, a już drugi raz musiałbym się ubierać. Tak mi się nie chce, pozwól zostać jak jesteśmy!

— A i do szkoły moglibyśmy się spóźnić.

— Pewnie, bo oboje strasznie marudzicie. Gdybyście się pośpieszyli raczyli, wszystko byłoby jeszcze na czas.

— Zaręczam mamusi, że nie zdążę — rzekł Kazio z głębokim przekonaniem. — Już ja siebie znam! Ot, lepiej niech nam mama da na wszelki wypadek parasol, gdyby deszcz padał, zastąpi nas całkowicie.

— Parasol duży, ale ty mały. Będzie ci za ciężko, jeszcze do tego z książkami. Lepiej posłuchajcie mojej rady, przebierzcie się i idźcie do szkoły bez parasola. Tych płaszczków i kapeluszy szkoda, zmokną, a prze-

cież pamiętajcie, że się poobiedzie wybieramy na spacer z cicią Jadwinią i jej dziećmi. Gumowe płaszczki z kapturkami doskonale was osłonią.

— Nie, nie mam! nie każ nam się przebierać — prosili oboje — okrycia gumowe stare i brzydkie, z kapturków wszyscy się śmieją. Wolimy już dźwigać parasol.

— A więc to o to chodzi; wasze ubrania zdają wam się za mało strojne, bo ktoś z niemądrych przyjaciół je wyśmiał. No, niech się tym razem stanie podług waszej woli, tylko wam zapowiadam, że żałować tego możecie. Z parasolem będzie wam ciężko i niewygodnie. Henia zniszczy nową sukienkę, Kazio przemoknie i dostanie kataru i spacer zapewne spełźnie na niczem.

— Niech się mama nic a nic nie boi, już my we dwoje poradzimy sobie — zawołała uradowana Henia. — Może nawet deszczu nie będzie. Zdaje mi się, że się rozjaśnia — dodała, wyglądając przez okno. Ale niestety, Henia się myliła. Ciężkie chmury zawisły nad miastem, grożąc lada chwila rozwarciem niebieskich upustów. Na świecie było szaro, ponuro, jak zwykle przed słotą.

— Spieszmy się Heniu! — zawołał Kazio — kiedy mama pozwoliła. Schowamy się oboje pod ogromny parasol i śmiać się będziemy z deszczu. Toż to będzie zabawnie — i wyszedłszy na podwórze, Kazio z wielkim trudem próbował otworzyć powierzone sobie narzędzie. Ale szło mu to oporem, bo laska parasola dłuższa była od jego ręki, więc nawet do skótki trudno mu było dostać. Nareszcie z pomocą Heni, jakoś im się to udało i dzieci uradowane poszły wesoło pod parasolem...

— No, daj Boże, żeby się ta wyprawa bez przeszkód powiodła — rzekła mama do siebie, zamykając drzwi od ganku.



a Henia szła naprzód mocno zaciskając piąstki...

— Raz, dwa; raz, dwa — komenderował Józio i szedł dalej, stawiając kroki, które mu się sążnistemi wydawały. Potrafisz ty za mną nadążyć — zapytał siostry. Henia wyprzedziła go za całą odpowiedź, bo lekka tabliczka nie ciążyła jej wcale.

Tymczasem deszcz drobny z początku, rozpadał się teraz na dobre, lało, jednym słowem, jak z cebra. Trzewiki już im przemokły i suknie od dołu także, to też Kazio coraz niżej opuszczać musiał parasol. Przechodniom zdawało się, że to sam parasol maszeruje tak ulicą. Doszło do tego, że dzieci w końcu nie widziały drogi przed sobą.

— Podnieś że trochę — prosiła Henia — bo zobaczysz, że upadnę. Ale wtedy znów wiatr miotał w oczy deszczem, tak, że jeszcze gorzej było. Kazio ręką zemdlała.

— A co to za ciężka machina! — wzdychał od czasu do czasu, przekładając parasol z ręki do ręki. I była to jedyna chwila w życiu, w której żałował, że niema do posługi czterech łapek, jak pewne znane mu zwierzątko. Dopiero by była wygoda, nimby przyszła kolej na czwartą, pierwsza by miała czas wypocząć. Ale Henia bardzo pomysłowa osóbką, znalazła sposób zaradzenia temu brakowi, zaofiarowała mianowicie, swoje małe rączki, a chociaż Kazio czuł dobrze, że są za słabe do dźwigania tak wielkiego ciężaru, po krótkim certowaniu się przyjął z radością jej ofiarę.

— Uf! — odetchnął swobodniej, a Henia szła żwawo, mocno zaciskając piąstki, była bardzo dumną, zdawało jej się, że jest wodzem i niesie sztandar przed całym wojskiem. Zapomniała nawet o deszczu, ale wkrótce przypomniał jej się w niemiły sposób, bo raptem Kazio zawołał: „Ostrożnie! i tak gwałtownie szarpnął za tabliczkę, którą Henia trzymała pod łokciem, że tabliczka, Henia i parasol, wszystko runęło z łoskotem na ziemię. Tabliczka pękła na dwie równe połowy, parasol potoczył się aż do mostku. Kazio z gniewem spoglądał na Henię, która mimo bólu w kolanie nie traciła przytomności i próbowała powstać, ale przeszkadzały jej śliskie kamienie. I Bóg wie jak długo byłoby to trwało, gdyż Kazio stracił całą swoją energię, gdyby nie jakiś przechodzący pan, który podniósł Henię, dał jej do ręki parasol, powtarzając z uśmiechem: A to dzielna panienka!

Henia podziękowała za uprzejmą pomoc, otrzepała suknię z błota i zebrała pogubione manatki.

— Niezgrabna! — mrucał Kazio — daj mnie teraz parasol, jak ja go też mogłem w takie ręce powierzyć! Dobrze, że się choć nie złamał; a czy bardzo się stłukłaś co?

— Ej, mnie się nic wielkiego nie stało, tylko mi żal, że tabliczka pękła i boję się, że się do szkoły spóźnimy.

— Toby już było najgorsze. Uważajmy więc teraz oboje, żeby nas znów kto nie trącił.

— O teraz już bądź spokojną — odrzekł chłopczyk spostrzegłszy, że dochodzą do rogu ulicy, poza którą zaraz była szkoła.

— Ja obejmuję dowództwo. Pilnuj się tylko, żebyś znów co nie zbroiła — dodał, zapomniawszy o tem, że sam był przyczyną poprzedniego wypadku. No, śmiało,

czemu kulejasz jak stary inwalid. Idź prosto, słuchaj komendy, na lewo zwrot i marsz!

Skręcili. W miejscu tym prąd wiatru był najsilniejszy, dostał się pod płócienne sklepienie parasola, a choć Kazio opierał się jego sile i nie dał go sobie wyrwać, druty jednak, wygiąwszy się w przeciwnym kierunku, porwały przytrzymujące je nici i ostre, śpiczaste powychodziły na wierzch, stercząc złowrogo.

(d. n.)

ROZMOWA Z CIOCIĄ.

— Moja ciociu droga, podobno wszystkie zwierzęta potrzebują powietrza do życia, a przecież ryby żyją w wodzie i właśnie na powietrze wystawione, umierają.

Tak mówił Janek do cioci Rózi, do której zawsze udawał się po radę, gdy miał jakie wątpliwości przy nauce o zwierzętach czyli zoologii.

— A czy sądzisz, Janku, że w wodzie niema powietrza? — zapytała ciocia.

— Chyba niema? — odparł niepewnie

— Nie, Janku, w wodzie jest powietrze; nalej wody w szklankę i nie poruszaj jej przez kilka godzin, a zobaczysz pełno maleńkich kulek zebranych przy ścianie szklanki. Te kulki, to powietrze, gdy dojdą do powierzchni wody, łączą się z powietrzem pokoju i znikają nam w oczach.

— Więc ryby tem powietrzem oddychają?

— Tak jest. Widziałeś skrzela u ryb?

— Widziałem. Przypominają małe, zakrzywione grzebyki.

— Otóż woda przechodząc przez te grzebyki, zostawia na nich powietrze rybom potrzebne, wody zaś ryby nie pochłaniają lecz ją odrzucają. Owe grzebykowane skrzela rozdzielają wpadającą w nie wodę na drobne strumyki, by tem więcej powietrza uwolnić z niej na korzyść ryby; gdyż jest ono niejako uwięzione w wodzie. Jeśli bowiem nalejemy wody w bardzo wąską ale głęboką szklankę, zobaczymy w niej dużo kulek powietrznych, lecz jeśli nalejemy troszeczkę wody na płaski spodek, kulek będzie mało, gdyż powietrze w niej zawarte z większą łatwością dostanie się na zewnątrz płynu.

— Wreszcie — dodała po chwili ciocia — przytoczę ci jeszcze jeden dowód, że ryby bez powietrza żyć nie mogą. Woda dystylowana czyli para wodna skroplona, powietrza w sobie nie zawiera, a w takiej wodzie trzymana ryba umiera wkrótce.

Janek podziękował cioci i zabrał się znowu do nauki o rybach, o których chciał posiadać dokładne wiadomości — nietylko z półmiska.

Ciocia Rózia.

CZYJA WINA?

Drażnił i drażnił pieska niegrzeczny Zenonek,
To ciągnął go za uszy, to znów za ogonek,
Aż pies zniecierpliwiony skoczył na chłopczynę,
Ugryzł go, no, i komuż przypisać tu winę?

Helena Bojarska.

Przygody Iskierki, Perełki i Brylancika.

(Dalszy ciąg).

Radość z odzyskania swobody osłodziła dzieciom smutną chwilę rozstania się z Iskierką, którą wsadzono do koszyka, po bardzo serdecznem ale krótkim pożegnaniu.

Koszyk był już zupełnie pusty. Nie chcąc nosić go z sobą, ojciec postawił go w kącie namiotu, poczem zaprowadził Jakóbka do dużego stołu. Chłopczyk oddał pieniądze otrzymane ze sprzedaży kociąt, a właścicielka namiotu podziękowała mu w imieniu biednych, chorych dzieci.

Nie potrafiłabym opisać wam wszystkich ślicznych rzeczy, jakim Jakóbek i Zosia przyglądali się w innych namiotach. Po krótkiej przechadzce ojciec zaprowadził ich do cukierni; dzieciom trochę się już jeść chciało, to też czekolada i ciastka smakowały im niewypowiedzianie.

Teraz trzeba było zastanowić się nad tem, co kupić za oszczędzone pieniądze. Chodząc przedtem z ojcem po ogrodzie, Zosia wybrała już śliczną lalkę, w męskim marynarskiem ubraniu, ale nie chciała jej kupować nie poradziwszy się Jakóbka.

Wprawdzie Jakóbek odzywał się często z lekceważeniem o lalkach Zosi, ale pomimo to przyznawał, że są to istoty bardzo pożyteczne. Gdy bawili się w „złodziejach”, jedna z lalek bywała zwykle okradzioną osobą; czasami Jakóbek udawał sędziego i skazywał lalki na siedzenie w więzieniu; czasami znów przychodził jako lekarz, wtedy lalki leżały chore w łóżeczkach a Zosia podejmowała się zajęć dozorczyń. Jeżeli urządzali szkołę, Jakóbek zasiadał jako nauczyciel, a lalki bywały wzorowymi uczennicami, bez porównania posłuszniejszymi aniżeli Neptun, który nawet pięciu minut nie umiał usiedzieć spokojnie.

Oto dlaczego Jakóbek pochwalił teraz wybór Zosi, która z radością zabrała ślicznego marynarza. Dla siebie zaś po długim namyśle kupił bacik, domino i dużą trąbkę, przyrzekłszy poprzednio ojcu, że nie będzie nigdy grywał na niej w domu.

Teraz dopiero wydawszy co do grosza wszystko, co miał w portmonetce, Jakóbek przypomniał sobie, że nic nie kupił dla matki.

— Cóż my zrobimy, Zosiu? — zapytał smutnie. — Ile ci się pieniędzy zostało?

Zosia miała jeszcze dwa złote, ale cóż można było kupić za te pieniądze. Wszystko co im się podobało, kosztowało znacznie drożej.

Nie mogąc zdecydować się na nic, dzieci poprosiły ojca o radę.

— Wybierzcie to, co wam się najlepiej podoba, a ja dopłacę, jeżeli będzie potrzeba. Spieszcie się tylko, bo musimy już wracać do domu.

Usczęśliwione dzieci wybrały niebieską doniczkę do kwiatów. Ojciec zapytany o zdanie pochwalił wybór, chociaż uśmiechnął się znacząco.

Powrót do domu był smutny; Jakóbek i Zosia milczeli przez całą drogę, bo widok pustego koszyka przypominał im ciągle biedne kocięta. Dopiero powróciwszy do domu, dzieci odzyskały wesołość i siedząc przy łóżku matki opowiadały jej o całodziennych swoich przygodach.

IV.

PRZYGODY ISKIERKI U NOWEJ PANI.

Rozstańmy się teraz z Jakóbkiem i Zosią, a pójdźmy za kociętami, które oni tak troskliwie dotychczas pielęgnowali. Dzieci nie zapomniały nigdy o swoich małych wychowańcach; oboje bardzo często myśleli o nich i rozmawiali. Od tej pory nieraz jeszcze Jakóbek i Zosia musieli rozstawać się z kociętami, bo Milutka obdarzała ich przynajmniej dwa razy na rok liczną rodziną, z której zostawiano zwykle jedno kocię, a dzieci starały się o jego umieszczenie.

Ale żadne z późniejszych kociąt nie wydawało im się równie ładnem i miłym dla tego może, że rozłączenie tego rodzeństwa poraz pierwszy w życiu nasunęło im myśl, że i oni także będą kiedyś musieli się rozstać, gdy Jakóbek pojedzie do szkół.

Ponieważ Iskierka najpierwej została sprzedaną i ponieważ ona to była najpiękniejszą z całego rodzeństwa, opowiemy najprzód jej historią, która zapewne zajmie was niemniej, jakby zajęła Jakóbka i Zosię.

Zgrabna, wesoła i figlarna koteczka pozyskała wkrótce względy swej nowej pani, która patrzyła pobłażliwie na różne jej psoty, ale niestety! zapomniała o tem, że mając w domu zwierzę, trzeba je wychować. To też Iskierka nabrała wielu złych przyzwyczajęń, na widok których matka jej Milutka byłaby z oburzeniem najeżyła wąsy. Jedną z największych wad Iskierki było zło-dziejstwo. Ale nic dziwnego, że ruszała ona to, co nie było dla niej przeznaczonem, bo ile razy będąc w jadalnym pokoju podczas śniadania wskoczyła na stół i umoczyła pyszczek w garnuszku ze śmietanką, pani zamiast ją zgromić nalewała jej mleka na spodek, a czasami nawet pozwalała jeść z własnego talerza.

Ośmielona tem Iskierka próbowała czynić to samo w kuchni. Tu jednak bardzo często spotykały ją przykrości, bo kucharka zniecierpliwiona i mniej pobłażliwa biła ją bez litości, albo smarowała jej nosk musztardą. Dotkliwe te kary nie wpływały jednak wcale na poprawę Iskierki, bo miała ona krótką pamięć i nie mogła zrozumieć co jej zarzucano, szczególnie wtedy, gdy kara następowała w kilka godzin po popełnionem przestępstwie.

Pewnego dnia wskoczyła w kuchni na stół i porwała skrzydełko kurczęcia. Śniadanie to smakowało jej bardzo, ale ciężko je odpokutowała a nawet przechorowała, bo kucharka wybiła ją bez litości.

Niestety! najsurowsze kary nie oduczyły już Iskierki od kradzieży! Przyzwyczajawszy się do ruszania wszystkiego, korzystała z każdej sposobności i brnęła dalej w złem, które z początku można było stłumić łagodnym ale stanowczem postępowaniem.

Ale pomimo tyłu przykrości Iskierka miewała często bardzo przyjemne chwile.

Nigdy chyba nie czuła się szczęśliwszą jak wtedy, gdy wskoczywszy na kolana pani zwinęła się w kłębek i mrużąc z radości drzemała przed kominkiem.

A jakie to susy wolno jej było wyprawiać po ślicznych meblach! ile tam było dywanów na których mogła się tarzać! ile miękkich poduszek, za które chowała się tak głęboko, że prawie jej widać nie było!... Jedzenia także nie brakowało jej nigdy i co to bywały za przysmaki!... Kurczęta, zwierzyna, mleko a czasami nawet i śmietanka! Iskierka wiedziała dobrze, że jest szczęśliwszą od wielu innych Cieszyła się też swoim losem porównując go z położeniem kotów, które spotykała często na dziedzińcu, albo w ogródku za domem. Przyjaciele jej i przyjaciółki opowiadali jej nieraz smutne swoje dzieje, którym ona prawie wiary dać nie mogła. Jedna kotka opowiadała jej, że przez czas długi na niczem jej nie zbywało, a potem ujrzała się nagle bez dachu i umierała z głodu, bo znalazła przytułek w jakimś pustym domu, w którym myszy nawet znaleźć nie było można. Ach! jak to ciężko znosić głód i nędzę, przyzwyczajony się do wygod i zbytku!

Iskierka lubiła bardzo przebywać w ogródku. Spotykała tam wiele kotów, z których jedne bywały chude i bardzo smutne, inne znów wesołe i widocznie nie głodne. Pewnego dnia przyszedł tu jakiś bardzo duży kot, pokryty długim kędzierzawym futerkiem. Iskierka przyglądała mu się ze zdziwieniem a wydał jej się tak pięknym i dużym, że pomyślała: „To pewnie nie kot ale jakieś inne zwierzę”. On jednak przywitał się z nią grzecznie i powiedział, że oboje należą do tej samej rodziny.

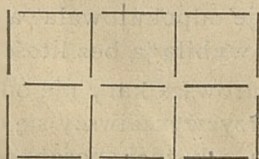
(d. c. n.)

SZARADA.
ułożył Stefan K.

*Pierwsze sylaba, lub jeśli zechcecie,
Gorącą wodę zowią też tak w świecie,
Trzecia wraz z drugą zaimek już znaczy;
Wszystko zaś razem, każdego to zobaczy,
Że nam jest znane; i łatwo uwierzy
Że to jest miasto, co nad Wisłą leży.*

ŁAMIGŁÓWKA Z PATYCZKÓW.

Jeżeli z równej długości 17 patyczków ułożymy 6 kwadratów, które z nich w liczbie 5 odjąć należy aby pozostałe tworzyły 3 równe kwadraty?



ROZWIĄZANIA DO N-ru 40-go.

Zagadki: Wieczory.

Łamigłówniki kryształowej:

T
R E n
F a L u n
T E L E M A K
T i M o r
W A n
K

Skrzynka do listów.

Uradowałaś nas pamięcią swoją kochana **Jodełko z nad Noteci**, dziękujemy ci za nią uściśnieniem serdecznym. Cieszymy się, że czas spędzasz tak pożytecznie, i prosimy o dawanie nam nadal wiadomości o sobie.

Wiochno kochana od tak dawna nie mając listu, zaczęliśmy już niepokoić się o zdrowie dawnej i milej nam korespondentki. Szczerze się cieszymy, że kuracja odniosła pożądany skutek, trzeba jednak pamiętać o swoim zdrowiu i trochę sobie pofolgować w pracy. Wiochna niema sobie do wyrzucenia, że marnowała dotychczas bezczynnie najpiękniejsze lata młodości; owszem zastosować może do siebie piękne słowa poety, wyrzeczone do sędziwego Koźmiana;

„Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką,
„Co wykuwa żywot cały;
„Choć przeminie sama szparko,
„Cios jej dłuta wiecznotrwały.”

Maurycy Dz. pod nazwą bajki przysłał nam utwór, który niema w sobie nic z tego co istotę bajki stanowi, pomijawszy w nim inne ważne usterki, zaznaczyć musimy błędy ortograficzne jak n. p. *żecze, zdażyło* się, których przedewszystkiem nietylko już autorom ale każdemu uniknąć należy.

Zdaje nam się, że to miły nasz przyjaciel, **Cz. Bas.** przysłał zadanie arytmetyczne w liście, w którym z pośpiechu zapewne zapomniiał położyć swój podpis. Trudno to mieć za złe komuś, że głowę traci z radości, zdawszy egzamin i my całym sercem tę radość podzielanymy.

Ach! Pondiszery dziękujemy zapamięć o nas, lecz na inny raz prosimy aby sobie wybrała *inny* temat do opisu.

Spełniając najchętniej polecenie twoje, kochana **Niezapominajko z nad Warty** pośpieszam ci donieść cenę nut o które zapytujesz: *La Gita in gondola* kosztują kop. 15 — *Rêve Angelique* kop. 90 — *Dors mon enfant* niema ale mogą sprowadzić, na przesyłkę dwóch sztuk razem dołącza się kop. 15. Gołąbka za pamięć dziękuje i wraz zemną cię ściska.

Pokazuje się, **Iskierko z pod Lublina**, że obie z **Kukułką** zrozumieliście dobrze dla kogo zadany był konkurs piśmienny; w istocie, odpowiedzi nadsyłać obowiązani byli chłopcy tylko i staruszki. Dla was zaś przeznaczony był konkurs robót. Uszczęśliwił on swym rezultatem ubogą dziatwę, a tyle jej jest, z nadchodzącą zimą tyle się potrzeb pojawia! Żal mi nieraz, że nie uczyłam się szewctwa i nie mogę ofiarować biednym dzieciom, uszytych przezemnie trzewiczków. Tak o nie trudno w ubogich rodzinach! Pięknie ci dziękuję za nadesłane mi kwiaty, tobie zaś, Kingo, za szczegóły, które mi o sobie donosisz. Przyjemnie, jak widzę, czas spędziłaś? Czy nie odbierałaś Wieczorów zagranicą? Redakcja wysyła je na żądania. Ucałuj odemnie **Ciszę Wieczorną** i sama serdecznie przyjmij uścisk od życzliwej wam zawsze:

Jaskółki.